

HARCOWNICY

Jeżeli należymy do tej grupy wiekowej Polaków, która w młodości z wypiekami na policzkach czytała Trylogię Henryka Sienkiewicza, chyba nie zaprzeczymy, że właśnie tej lekturze zawdzięczamy poważne powiększenie naszego słownictwa, dotyczącego strojów, uzbrojenia i różnego typu zajęć wykonywanych przez naszych przodków w czasach pokoju i wojny. Jednym z takich słów, często używanych w licznych opisach bitew i potyczek pana Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, Kmicica i innych dzielnych mężów jest określenie "harcownik". Cóż takiego ów harcownik robi? Co jest celem zasadniczym jego (że tak powiem) działalności? Zapewne harcowanie, ale co to oznacza w konkretnych warunkach wojny podjazdowej?

Od końca XVIII wieku, jak można było przypuścić, liczba harcowników zaczęła się gwałtownie zmniejszać, przynajmniej na polu walki. Podtrzymanie tradycji rycerskich, popisanie się odwagą przed komendantem, hetmanem, a czasem może nawet pojmanie jeńca - to wszystko przestało aż tyle znaczyć już mniej więcej od czasów Napoleona. Tym niemniej w miarę schyłku harcowania na polu bitwy, coraz więcej harcowników przenosiło swoje talenty do sal sądowych, parlamentów i auli uczelnianych. A tam bronią był i nadal jest - ostry język. Dobry harcownik w świecie argumentów słownych to de facto erudyta, który umie, jeśli tylko chce, wyprowadzić adwersarza z równowagi, wybadać jego intencje, wreszcie (co bywa najgorsze) dokumentnie go ośmieszyć. Odkrycie internetu wbrew nadziejom naiwnych entuzjastów wyostrzyło nie tyle siłę argumentów, lecz argumenty siły. A więc niestety, wygląda na to, że duża część publiczności woli posługiwać się (w przenośni) raczej kijem baseballowym niż figurami szachowymi.

Jeżeli uznać zmagania PiS-u z anty-PiS-em za rodzaj kampanii wojennej, której wynik przeddefiniuje na długie lata charakter polskiej państwowości, to z miejsca można by określić kilka znanych postaci wśród polityków i działaczy po obu stronach konfliktu mianem harcowników słowa. Ostatnio jednym z bardziej aktywnych młodszych działaczy PiS-u harującym na przedpolu zmagania o kształt ustroju kraju leżącego między Bugiem a Odrą, jest zaprawiony w bojach wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta. Otóż ostatnio zarzucił on senatorom Koalicji Obywatelskiej, Lewicy oraz PSL (ni mniej ni więcej) tylko chęć usunięcia siłą sędziów prorządowych mianowanych przez prezydenta Andrzeja Dudę. Na wtorkowej konferencji prasowej minister Kaleta określił projekt senatorów opozycyjnych jako "bezprecedensowy atak na niezawisłość sędziowską." Jeśli ktoś z konsumentów państwowej TVP miał wątpliwości jak należy rozumieć ostatnie tarcia i zgrzyty wewnątrz maszyny wymiaru sprawiedliwości, mógł sobie na pasku pod ekranem przeczytać wszystko co najważniejsze: "Postępowanie Sądu Najwyższego godzi w polską Konstytucję." No tak, teraz jest jasne. Wniosek - choć mocno naciągany - jest jednak czytelny dla większości rodaków. Wszystko się zgadza. Oto nieodpowiedzialna opozycja zabiera się (zdaniem harującego ministra Kalety) do jakiegoś nie do końca jasnego "rozwiązania siłowego." A zatem, drogie Słuchaczki i Szanowni Słuchacze, jeśli za rok czy dwa, w trakcie wycieczki do Warszawy zobaczycie przypadkiem przed Ministerstwem Sprawiedliwości w Al. Ujazdowskich jakiś dziwaczny zielono-szary pojazd w towarzystwie kilkunastu tzw. "kominiarzy", to niczemu proszę się nie dziwić. Wszak to wszystko dla naszego dobra. Minister Kaleta przepowiedział, a minister Ziobro nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. Reformy mają być dokończone. A co z harcownikami? Jak to co? Normalnie teraz mogą już iść do domu, ewentualnie kupić sobie dwutygodniowy wyjazd na Seszele lub bardziej konwencjonalnie na Wyspy Kanaryjskie. Wiadomo, że najdalej za miesiąc ich zapał znowu się władzy przyda. W zasadzie każdej władzy, ale zwłaszcza takiej, która ma coś na sumieniu.

Jedyne ryzyko, które grozi harcownikom politycznym o różnych orientacjach to wpadnięcie w pułapkę nieporozumienia adresatów swoich mniej lub bardziej złotych myśli. Na wiosnę ofiarą

takiego nieporozumienia stał się ateista i założyciel lewicowego stowarzyszenia "Liberté" - Leszek Jażdżewski.

Pan Leszek postanowił zmobilizować pół narodu do czynu. Nie wiadomo dlaczego nikt z Koalicji Obywatelskiej nie poinformował super progresywnego publicystę o zgubnych skutkach pychy. Nie-pobożne życzenia pana Leszka i jego bezsensowna rewia antykościelnych wyskoków istotnie zmobilizowały pół narodu - ale nie tę co trzeba, tylko tamtą drugą konserwatywną połówkę. Tak czy owak tamto majowe wystąpienie wejdzie niechybnie na stałe do podręczników z dziedziny propagandy. Będą też tacy, którzy bez trudu odczytają je jako zręczną prowokację, mobilizującą do czynu obywateli o przekonaniach skrajnie prawicowych. Czy Leszkowi Jażdżewskiemu zależało na wywołaniu oburzenia na prawicy, a Sebastianowi Kalecie na sprowokowaniu nowego stanu wojennego? Niekoniecznie. Ale obiektywne ryzyko jest oczywiste. Najbliższe miesiące też mogą przynieść harcom politycznym nowe pokusy. Moim zdaniem, skutki ich wojowania będą najczęściej rozmaite. Popatrzmy chłodnym okiem. Propagatorzy trzeźwości popularyzujący styl życia "przy piwku". Moraliści przyczyniający się bezwiednie do rozluźnienia norm obyczajowych. Zdecydowani konserwatyści, których dzieci i wnuki wyżywają się w działalności tzw. "lewackich" stowarzyszeń. Głosiciele liberalizmu ekonomicznego odkrywający ku swemu zgorszeniu, że ich potomstwo bez zahamowań bierze udział w endeckich imprezach. Wszyscy nasi żarliwi i ideowi rodacy muszą pamiętać, że przesada prowadzi do skutków najczęściej odwrotnych od zamierzonych. Dlatego też - Panie i Panowie - trochę luzu nie zaszkodzi. Nawet jeśli jest się harcom.